



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLUCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA

Ubiegły tydzień zakończył się w Sobotę wieczorem katastrofą, jakiej nie mieliśmy od czasu świętokrzyżkiej. Podczas nabożeństwa w synagodze na Tłomackiem wszczął się popłoch z niczego, jak to najczęściej bywa: ze szmerów niezrozumiałych, z wołania o pomoc, z fałszywego alarmu, że się pali.

Kobiety na galeryach, trwożliwsze od mężczyzn, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, rzuciły się ku drzwiom; przestraszona pomyślała im zmysły, odebrała przytomność, owezy pęd pchał je instynktownie ku drzwiom, na schody; szarpały się, tratowały, gniotły; kłęb ciał zwinął się i ścisnął tak silnie, że kiedy go rozplątano, zpod nóg uciekających w przestרחu i grozie bez faktycznego powodu, wydobyto dwie ofiary zabite a dwie konające, obok poszarpanych i poranionych w śmiertelnej walce z fikcyjną zmorą niebezpieczeństwa.

Kilkadziesiąt osób podobno odniosło cięższe i lżejsze obrażenia ciała; mogło się skończyć jeszcze gorzej, gdyby nie ratunek mężczyzn, którzy zatarasowali wyjście z drugiej galeryi swojemi plecami i potrafili uspokoić płochliwe i przerażone niewiasty.

Drobny, nie znaczący przypadek stał się przyczyną całej katastrofy. Nie pomogły nawoływania przytomnych, przemowa kaznodziei z ambony, głos organów, rozbrzmiewający śpiew chórow dla odwrócenia uwagi tłumu i zapewnienia wszelkimi, że nic nikomu nie grozi; przy tym akkompianiamencie muzyki i śpiewu odegrał się

straszny melodramat, charczenia duszonych, krzyki i jęki umierających; wrzask trwogi przygłuszył wszystko; instynkt zachowawczy zapanował nad zdrowym rozsądkiem i zmysłami rozburzonymi pod wpływem chwilowego przestרחu.

Sprawdziło się, nie po raz pierwszy i, niestety, zapewne nie poraz ostatni, że popłoch bywa gorszym w skutkach niebezpieczeństwem od przyczyn, które go wywołują.

Tłómaczono, przekładano, dowodzono tylokrotnie w żywym i pisanem słowie, że należy zachowywać zimną krew, rozwagę, przytomność umysłu w takich razach; ale słowa same nie zmieniają natury ludzkiej, nie zahartują wrażliwych i zbyt wyczulonych nerwów.

Potrzeba wychowywać w tym kierunku ludzi od dzieciństwa, oswajać ich z niebezpieczeństwem, rozwijać w nich rozwagę, zwalczać zbytnią wrażliwość.

Znałem mężczyzn w normalnych warunkach, rozsądnych, odważnych i silnych fizycznie, którzy w pewnych, bardzo pospolitych wypadkach, zaskoczeni zniemacka niespodzianem wrażeniem, tracili równowagę, wzdrygali się za lada szelestem, zrywali z miejsca i bledli nawet, choć się później naigrawali sami z własnej wrażliwości.

Za swoje nerwy nikt nie jest odpowiedzialnym; ale rodzice i wychowawcy w pewnej części są odpowiedzialni za nerwy i zdrowie swoich dzieci i wychowanców. Od nich bowiem zależy pomagać naturze, hartować młode organizmy, rozwijać je prawidłowo według wskazówek higieny i pedagogiki, przygotowywać i przystosowywać przyszłe pokolenia fizycznie i moralnie do wszelkich warunków życia.

Wracając do katastrofy w synagodze na Tłomackiem, która tak żywo przypominała katastrofę świętokrzyżką, z podobnych zupełnie powodów, muszę stwierdzić ten smutny fakt, że doświad-

czenie niczego w analogicznych wypadkach nie uczy. Gdyby nazajutrz po popłochu w jednym miejscu wybuchła panika, w drugim powtórzyłyby się niewątpliwie takie same okropne sceny zamieszania, z równie tragicznym epilogiem.

Rozpisuje się w świecie konkurs na rozmaite wynalazki geniuszu i dowcipu ludzkiego: czemu nikomu na myśl nie przyszło oznaczyć nagrody na wynalezienie środka zmniejszenia popłochu i jego fatalnych skutków?... Wszakże i tłum i wielkie zbiorowisko ludzi ma swoją psychologią zbiorową; gdyby ją zbadać, gdyby ją wyzyskać dla dobra i bezpieczeństwa tego tłumu?...

Miejsca publicznych zgromadzeń powinny być tak urządzone, aby możliwe niebezpieczeństwa w nich zredukować można do *minimum*. Kto się na taki pomysł zdobydzie, zasłuży sobie na pomnik, za którym nawet kolega Prus z pewnością głosować zechce, chociaż w kwestyi wszystkich pomników jest stałym opponentem z zasady. Obecnie wystąpił przeciw projektowi uczczenia posągiem na Placu Wareckim pamięci i wiekopomnych zasług ks. Baudouin'a.

Projekt to nie nowy: przed dziesięć laty St. M. Rzętkowski, dzisiejszy kronikarz „Tygod. Ilustrowanego,” w temsamym piśmie zamieścił artykuł z okazji wykończenia przez Ludwika Kucharzewskiego pięknej statuetki zacnego kapłana i opiekuna opuszczonych dzieci. We wspomnianym artykule autor wyraził myśl, iż należałoby dzieło młodego wówczas rzeźbiarza wykonać w większych rozmiarach i ustawić przed szpitalem Dzieciątka Jezus.

Minęły lata i projekt poszedł w zapomnienie, bo go nie poparto odrazu energiczną agitacją; sam autor o nim zapomniał.

Obecnie „Kuryer Codzienny” wznowił ten pomysł, rozwijając propozycją „Kuryera Porannego,” domagając się choćby pamiątkowej tablicy dla ks. Baudouin'a.

Znalazł się chętny ofiarodawca, p. Manzel, który przyrzekł publicznie wykonać własnym kosztem tablicę w powyższym celu. „Codzienny“ zaś, nie poprzestając na tem, wezwał do składek dobrym przykładem samej redakcyi i począł zbierać dobrowolne datki.

„Kuryer Warszawski“ znowu, praktyczniejszy w zasadzie, ale trudniejszy w wykonaniu wniosek postawił: oto wymaga zamiast tablicy lub pomnika, utworzenia nowego przytułku i ochrony dla podrzutek.

Bardzo pięknie, głosowałem za temsamem z „Kuryerem Warszawskim“ i byłem jego feljtonistą Prusem, gdybym miał tę pewność, iż łatwiej u nas zbierze się w tych czasach kilkadziesiąt, niż kilka tysięcy rubli; ale ponieważ, jak słusznie zauważył „Poseł Prawdy“ w tej kwestyi: „u nas pieniądź miłosierdzia nie każdym da się przyciągnąć magnesem, pomnik otwiera kieszenie, nędra i choroby podrzutek—zamykają;“ ponieważ dalej „opinia publiczna daje niemal do wyboru: albo pomnik, albo nic“—prze-to głosuję za tem, co możliwsze w danych warunkach i prawdopodobniejsze z rozmaitych względów, t. j. za pomnikiem, do którego model mamy gotowy w pracy nieszczęśliwego artysty, dotkniętego dzisiaj nieuleczalnym obłędem.

Jakiś znowu człowiek pomysłowy zaproponował bardzo właściwy napis nad skarbonką, którą możnaby przy pomniku umieścić, zużytkowując słowa legendowego niemal kapłana i filantropa... „A co dla moich dzieci?“—Wiadomo, iż słowa te wyrzekł święty mąż, pełen pokory i poświęcenia dla swej idei, gdy zniecierpliwiony szuler jakiś na prośbę o datek, odpowiedział zacnemu kwestarzowi policzkiem.

Ofiarność publiczna tym głosem z kamienia płynącym byłaby nieustannie pobudzana i w skarbonkę padałyby wdowie grosze przez całe lata, przysparzając powolną, ale stałą zapomogę dla instytucyi, która dzisiaj może, niestety, utrzymywać jedną tylko mamkę na czworo dzieci, a nie mogła (!) przyjąć darmo kilkunastu krów dla niemowląt, ponieważ nie miała funduszu na ich wykarmienie, i w której nakoniec śmiertelność maleństwa z biedy wynosi 80%.

Wobec tych faktów potrzebniejszym byłby fundusz na dom podrzutek; ale *pro 1-mo*: trudniej byłoby go wydobyć małemi datkami od publiczności, a zwłaszcza w takiej wysokości, by usunął wszystkie niedobory; a *pro 2-do*: kwestya pomnika nie przeszkadzałaby w przyszłości napływaniu ofiar: owszem, pomogłaby do ich zbierania, gdyby przy pomniku powieszono skarbonkę z proponowanym napisem.

Ja rozumiem to dobrze, iż w każdym społeczeństwie zaspakajanie potrzeb ważniejsze jest od zbytków i że należałoby jakiś systematyczny ład utrzymać w szafowaniu funduszami publicznymi; ale, niestety, teoria niezawsze może decydować o praktyce.

Trzeba to robić, co łatwiejszem na razie jest do wykonania.

W życiu jednostki dziwactwem lub niepraktycznością byłoby sprzącać nowy krawat, lub wtykać bukiet w butonierę przy podartych butach na zawiasach; ale w życiu społecznym często trzeba się godzić na taką sprzeczność i ustosunkowywać wydatki przeciwnie, niż pozorna logika doradza.

Pomniki mają u nas stanowczo swoją fatalność, zarówno te, które istnieją dopiero w projekcie, jak i te, które po faktycznym wykonaniu nie mogą się tak łatwo wygramolić na piedestał. Doniedawna było tak z płaczącą muzą nad zgonem Moniuszki, obecnie jest tak z pomnikiem dla Macieja Sarbiewskiego, którego utwory, jako wzór klassycznej łaciny, objęte były programami szkolnymi u nas, w Anglii i na Węgrzech.

Przed czterema laty zebrano fundusz, wymodelowano następnie biust i odlano z brązu, wykonano część architektoniczną w marmurze dębnickim, ułożono epigraf, wybrano miejsce w kościele N. Maryi Panny Łaskawej przy ulicy

Świętojańskiej,—a mimo to do dzisiejszego dnia pomnik nie stanął.

W dniu 2 Kwietnia przypada rocznica śmierci Sarbiewskiego; możebyśmy się wyguzdrali do tego czasu i przygotowali resztę do uwieńczenia dzieła...

Jeszcze nie koniec z kwestyą pomnikową; jeszcze najważniejszą sprawę muszę poruszyć, która jak kamień ugniata watrobę wielu ludziom, nawet mniej skłonny z natury do irytacyi. Jest nią sprawa pomnika Mickiewicza i ostatniego konkursu rzeźbiarskiego w Krakowie.

Wspominając o niej ostatnim razem i o rozdaniu nagród, powtórzyłem pogłoskę za korespondentami do gazet naszych, iż projekt p. Godebskiego Cypryana, jakkolwiek uznany za najlepszy, pozostać musi niewykonalnym dla swych rozmiarów i kosztów dochodzących według przypuszczalnych obliczeń do pół miliona.

P. Godebski, usłyszawszy o tem w Paryżu, wybrał się osobiście do Krakowa a następnie do Warszawy, aby zaprzeczyć własnymi ustami pogłoskom.

Podjejmowano go tutaj w gronie literatów, artystów, dziennikarzy bardzo gościnnie i serdecznie i dowiedziano się przy tej sposobności od niego, że ktoś niechętny może jego pracy, albo chętniejszy innej, rozpuścił wersyą, jakoby on projektował pomnik 18 metrów wysoki, wymagający kosztów prawie pięć razy większych, niż zebrany fundusz wynosi.

— Jako żywo, nieprawda! — utrzymuje zmartwiony laureat—pomnik według mojego projektu będzie miał 10½ metra wysokości, da się wykonać za 100,000 guldenów i nie przedstawia żadnych trudności w wykonaniu. Jeśli będzie potrzeba, zabiorę się od razu do roboty, nie chcę ani grosza naprzód przed ukończeniem mego dzieła; przekonam wszystkich, że to jest możliwe.

Z Warszawy poszedł taki głos do Krakowa, gdzie obraduje komitet pięciu, obdarzony dyktatorską władzą, nadającą mu prawo decydować o wszystkim i stawiać pomnik, choćby z masła, nie z marmuru, jeżeli to uzna za stosowne.

Dotychczas sędzia pięciogłowy milczy tajemniczo; z telegramu hr. Przezdzieckiego w *Kuryerze Warszawskim* dowiedzieliśmy się, że komitet studjuje krytyki projektów konkursowych i namyśla się.

Pięknie, moi panowie, tylko na miłość Boską pamiętajcie o losie indyka!...

Jako ludzie miękkiego serca i potomkowie wrażliwych entuzjastów, wzięliśmy może za gorącą stronę pierwszego laureata p. Godebskiego; a że tu nie o niego i jego miłość własną chodzi, ale o dobro sprawy, należałoby poprosić artystę, by sporządził kosztorys szczegółowy i przedstawił go na poparcie swoich twierdzeń, iż summa kosztów nie przekroczy stu tysięcy guldenów. Są bowiem pesymiści, którzy utrzymują, iż pomnik, nawet w rozmiarach przez p. Godebskiego oznaczonych, z granitu i brązu znacznie większych wymaga funduszków. Co do materiału również zachodzą różnice poglądów. Zanim przeto przystąpimy do plebiscytu na korzyść p. Cypryana, zbadajmy gruntownie wszystkie *za i przeciw* w tym wypadku.

Tak każe przezorność, jeżeli ona u nas nauczyła się już rozkazywać przed szkodą.

Rozpisałem się nieco obszerniej o tych pomnikowych sprawach, uważając je za temat okolicznościowy; umartwienia w poście są bowiem przepisane chrześcijańskim duszom.

Dotychczas martwiliśmy się dość przyjemnie, oile nas nie obchodziły kursa giełdowe i projekt reformy naszej waluty, jako też telegramy z Berlina i San Remo.

Zaczęliśmy ucześnieć na odczyty w sali ratuszowej, akkompaniując prelegentowi szczękaniem zębów z zimna; byliśmy w nielicznym komplecie także na dwóch koncertach w tejsamej sali, spoglądając z podziwem i współczuciem na

artystów i przedstawicieli komitetu Osad Rolnych, którzy mogli wytrzymać we frakach, nie podbitych futrem lub przynajmniej grubo watanych.

Oszczędność włazi teraz nawet do pieców nie opalanych.

Oba koncerty udały się pod względem muzyki, śpiewu i deklamacyi (muszę już co nowego napisać dla p. Ozakówny i p. Szymanowskiego, aby im odświeżyć repertuar), ale nie przyniosły spodziewanego dochodu; a dochód miał cel użyteczny miał się przyczynić do założenia osady dla dziewcząt, które przestępstwem rozpoczęły drogę żywota.

Taka kolonia poprawcza dla małoletnich rodzaju żeńskiego oddawna jest w projekcie Towarzystwa Osad Rolnych; jednak brak funduszków nie pozwalał dotąd na jej założenie.

Nie powiem, aby koncerty były skutecznym środkiem na zebranie takiego funduszu; środek to zanaadto u nas wyexploatowany, nie pociąga już większych tłumów, jeżeli jakiś nadzwyczajny wabik do tego się nie przyczyni.

Muzyką kokietuje się dzisiaj wszędzie publiczność; nawet płótna, płócienna i korciki nie mogą się obejść bez muzyki. (Zdaje mi się, że popełniłem rym niechęcący; odstępuje go zakłopotanym o końcówkę wierszopisom młodszej generacyi). Na wystawie tkackiej fortepian i orkiestra, nawet śpiewy solowe, należą do okazów poza-konkursowych. Na wystawie muzycznej, która w tym tygodniu została uroczystie otwarta dla znawców i profanów, próby instrumentów i popisów artystów stanowią mają znaczną siłę atrakcyjną.

Nic bez muzyki!...

W teatrze p. Russel święciła jubileusz setnego występu, a nie pamiętam już którego pożegnania ze swymi wielbicielami; amerykańska primadonna 25,000 rs. (co to znaczy przy dzisiejszym kursie!...) zarobiła swojemi trelami.

W Towarzystwie Muzycznym Alicya Barbi, jak słowik zwiastujący wiosnę, zaśpiewała kilka piosenek zeszłej Srody i umknęła zaraz na drugi dzień; takich tłumów słuchaczy nie pamiętam w salach ređutowych. Jeżeli sobie wzajem nie siadano na kolanach i nie stawano na głowie, to tylko dlatego, że dobre pomysły przychodzą najczęściej o pięć minut zapóźno.

Towarzystwo Muzyczne zaczyna tyć po wyleczeniu się ze suchot; ostatnie sprawozdanie z dumą wskazuje, że mu przybyło i członków i finansowego sadła. Dyrektor Noskowski (ruchliwą gimnastyką potrafił w ten organizm wlać nową żywotność i siłę).

W teatrze po „Hrabinie Sarze“ i wznowionym „Synu Giboyer'a“ przyszła kolej na „Państwa Wacków“ p. Zygmunta Przybylskiego; jest to dalszy ciąg rodzinnej historyi Klepackich, z których „Wicek i Wacek“ doczekali się takiego rozgłosu, o jakim nawet zamarzyć nie mogli.

Druga część tej prawdopodobnej *in spe* trylogii jest słabszą od pierwszej; Wacek po ożenieniu się, żeni z kolei Wicka, aby nie jeździł po jarmarkach i nie wyciągał go samego z domu na hulanki.

Sztuka grana z werwą i charakterystycznym komizmem rozśmieszać będzie zapewne długo widzów Rozmaitości, którzy szukają lekkiej zabawy i lubią towarzystwo „wesółych chłopców“, poczciwych z kośćciami w tem podwójnem u nas znaczeniu...

W poważnym repertoarze zanosi się na „Uriela Acostę“ Gutzkowa, z panem Kotarbińskim w roli tytułowej i panną Marcellówną w roli Judyty.

W kronice dziwacznych pomysłów zanotować mi przychodzi projekt urządzenia w Warszawie konkursu piękności, na który z własnej kieszeni chce łożyć jakiś tajemniczy wielbiciel niewieściech wdzięków.

Komitet ekspertów (proszę o mandat!...) ma składać wizyty paniom, ubiegającym się o nagrodę—po domach, obejrzeć każdą kandydatkę, spisać protokół i na końcu głosować za nadwiślań-

ską Venus, której portret przyozdobi później zapewne karty naszych pism illustrowanych.

Węgrzy przed kilkoma laty spróbowali pierwszy w Europie naśladować excentrycznych Amerykanów; Warszawa chce pójść w ślady Pesztu na tej drodze—no, nol...

Jeżeli to wszystko nie jest sensacyjną kaczką, wyległą w głowie reportera, to jest bzikiem splezionym w mózgu człowieka, który nie zna wartości swoich pieniędzy.

A *propos* tak często używanej „kaczki dziennikarskiej”, —czy wiecie z kąd powstała i jakie jej pochodzenie?... Oto w jednym z dzienników angielskich czy francuzkich ukazała się pewnego razu wiadomość w rodzaju ssącego węża, tej treści: Na podwórku pewnego farmera żyło dwadzieścia kaczek w przykładowej zgodzie; raz jedna z nich coś przeskrobała, więc zadzióbano biedaczkę i zjedzono razem z pierzem. Dziewiętnaście towarzyszek podzieliło się łupem, ale że *l'appetit vient en mangeant*, więc z kolei zabrano się do drugiej, potem do trzeciej, aż w końcu ostatnia kaczka zjadła swą jedyną towarzyszkę i usnęła, nie mogąc zjeść i siebie na deser.

Ta żarłoczna bohaterka była matką całego rodu kaczek dziennikarskich i stała się wypasioną patronką reporterów bujnej fantazyi, których nie braknie i w naszej prassie.

Publiczność zaś rozsmakowała się, niestety, w tej potrawie i szuka jej w pismach popularnych coraz bardziej.

Winszuję,—smacznego apetytu!

Quis.

Po przeczytaniu poezyi Asnyka.

Błogi mi spokój wstępuje do duszy,
A co przed chwilą zdało się cierpieniem,
To jego słowo tak rzewnie poruszy,
Że zamiast skarga — modłę się westchnieniem.

Ze łzami w oczach szłę mu wtedy dzięki
Za te serdeczne i tkliwe piosenki...
Ach—musiał cierpieć, kto tak śpiewać umie,
Kto tak tęsknoty i żale rozumie!

Dzięki ci, piewco, za tony twej lutni!
Kochać cię będą zawsze ludzie smutni,
Boś wypowiedział w godzinie natchnienia
Wszystkie tęsknoty — i wszystkie marzenia...

Niejedną boleść twe pieśni uciszą.
I niejednego do czynu podniecą!
Niejedną rozpacz w sercu ukołyszają,
Niejedną życia zagadkę rozświecą;

Niejedne łzawe osuszą powieki,
I żyć nauczą z sercem bolejącem,
I w niebo patrzeć, i tęsknić za słońcem,
Cierpieć nauczą — i kochać na wieki...

Helena.

BYRON.

(Dalszy ciąg).

Studia uniwersyteckie trwały krótko; zbrakło na nie cierpliwości i systematycznej pracy.

Pogardzał zwierzchnością, bo widział w niej uosobienie tego, czego sam najbardziej nienawidził: prawa i porządku. Samowola przygniatała ogromne zdolności, ale dzięki im właśnie, wbrew marzycielskiemu próżniactwu, nagromadził się w pamięci spory zasób oderwanych wiadomości. Czytanie dowolnie dobieganych książek, odpowiadających wyobraźni, więcej zajmowało czasu niż nauka, a wybryki temperamentu więcej znowu, niż czytanie. Wesole życie pędził przyszły geniusz wszechświatowy, podkopując i zdrowie i dziedzictwo, którego, przy skali swych nieposkromionych potrzeb, nie miał przecież za wiele. Jego uciechy, zabawy, żarty ówczesne pozostały w ustnej tradycyi Cambridge'u. Trzymał np. uczonego niedźwiedzia do rozmaitych figlów z kolegami w Trinity-College i z filistrami w mieście; na etacie psim miał zawsze kilku ogromnych buldogów, przerażających swą siłą i zjadłością. Pobyt w Cambridge zajął Byronowi czas od Października 1805 do końca roku szkolnego w 1806 roku. Przez rok następny do środka lata 1807, widzimy go w małym miasteczku Southwell, niedaleko od Newstead-Abbey: prawdopodobnie uciekł od matki. Tam zebrał pierwsze swoje próby, sięgające jakoby do dwunastego roku życia, i w Marcu 1807 r. wypuścił je w świat, w Newarku, pod tytułem: *Hours of Idleness* (Godziny wczasu). Krytyka literacka, równie jak filozofia, miała wtedy ognisko swoje w Szkocyi; *Edinburgh Review* był wyrocznią, a na trójnogu jej stawał nieraz jeden z najświetniejszych umysłów angielskich, lord Brougham. Ten, chociaż późno, nie zaniedbał wychłostać „nieletniego autora”, jak się sam Byron na tytule nazwał. Chłosta sama w sobie była zasłużoną, ale przebrał w niej miarę krytyk, gdy radził Byronowi nazawsze poezją porzucić. Zdaniem Brandesa, więcej było w tych *Hours* niedowarzenia umysłowego, niż literackiego występku, a rozlegały się już w nich dźwięki przyszłej prawdziwej poezyi i przyszłych polotów wolnej rozumnej myśli (np. na skon Foxa). Były to wszystko kwiatki z łąk dzieciństwa i pierwszej młodości; wypadało właśnie to ich pochodzenie uwzględnić. Niepodobna się zgodzić z Brandesem, aby surowa krytyka wyświadczyła Byronowi przysługę; przeciwnie, Brougham skrzywdził go srodze: kazał mu ukochać swoje ja i uczynić środkiem świata, osią dla ruchu wyobraźni twórczej. Wprawdzie odpowiedź, napisana, jakby jednym tchem, choć z wielką pracowitością, stwierdziła już siłę ironii niepospolitą, ukazując już w zarysach mistrzostwo wysłowienia; ale z kąd pewność, że siła, która wydała z siebie pamflet—gdyż ostatecznie jest to tylko wierszowany pamflet—nie byłaby znalazła dla siebie innego tworzywa, w któremby się dzielniej może jeszcze a dodatniej, poważniej, objawić zdołała? W każdym razie podziwiać trzeba umysłową sprężystość człowieka, który w dwudziestym roku życia mógł taką satyrę, jak *English bards and Scotch Reviewers*, napisać.

Po całorocznym pobycie w Newstead, w końcu 1808 r., udał się Byron do Londynu. Kończyła się jego nieletność; miał wejść do Izby Lordów, ale chciał z tego wejścia uczynić wielką uroczystość dla swego egoizmu. Przywiózł ze sobą manuskrypt satyry i czekał na jej wydrukowanie. Installacya odbyła się dnia 13 Marca 1809 roku; w trzy dni potem wyszli „Bardowie angielscy i przeglądowcy szkoccy.” Przy zajmowaniu krzesła parowskiego uwydatniła się już ogromna zarozumiałość młodzieńca, dla którego nowe towarzystwo miało wartość tylko starych peruk, a w którym znowu te wzgardzone peruki mogły z najzupełnijszym prawem nie widzieć jeszcze geniuszu. Stary kanclerz Eldon pośpieszył uprzejmie ku Byronowi, ale gdy ten podał mu ledwie końce palców, później już nie kwapił się z formalnościami. Młody par, z powodu swojej względnej niezamożności a małej powagi rodziców, znalazł się w Izbie odosobnionym; nikt go tu prawie nie witał, nikt nie był jego znajomym. Boleśnie to dotknęło jego miłość własną. Zniecierpliwiony, upomniął się u kanclerza o potrzebne dowody, czyniąc przytem niemądre porównanie, pomiędzy nim a jedną z postaci powieściowych angielskich: „Wasza Dostojność—rzekł—

jestes jak Tom Thumb: spełniasz tylko swój obowiązek, ale nic więcej nad to.” A czegoż chciał ten nowy filar państwa angielskiego; czy sądził że świat się powinien dla niego rozpaść? Dostawszy dowody, poszedł na ławy, skierował się w okolicę opozycyjną, dość bezludną, usiadł w krzesle, posiedział kilka minut i wyszedł. Naród Angielski dowiedział się z całego tego ceremoniału, że mu przybył jeden lord liberalny. Większe wrażenie sprawił Byron swoją satyrą, niż swoim parowstwem. W świecie literackim powstała ogromna wrzawa. Duch przekory chciwie lękał niechęć, aby ją przerabiać w sobie na nienawiść. Dziecię odrywało się coraz silniej od swojej macierzy.

W Czerwcu 1809 r., zebrawszy z majątku co mógł, wyjechał Byron w towarzystwie Hobhouse'a, późniejszego Broughton, na wędrowkę po świecie. W dzieciństwie na Wschód, i teraz sam cel sobie wytknął. Działalność polityczna była nie dla niego: przez trzy miesiące od wprowadzenia w posiadanie parowstwa parę razy tylko pokazał się w Izbie. Tem mniej jeszcze mógł mieć powołania do zarządu własnym majątkiem; dotychczas trwonić go tylko umiał, zaciągając w nieletności jeszcze długi, które później zaciążyły mu straszliwie, już nietylko na majątku, ale na życiu samem. Cierpiał nieraz dotkliwy brak pieniędzy. Jedynemu przyjacielowi, jakiego znalazł na ziemi, dzięki tylko jego własnym, nie swoim przymiotom, Moore'owi, opowiedział raz, w jaki sposób obchodził dzień pełnoletności w Londynie: nie miał za co zjeść nawet dobrego obiadu; ale w Newstead wierny lud farmerów i służba dworska musiały mieć wołu pieczonego z rogami—bo tak nakazywał obyczaj. Podróż pobudziła fantazyę, a oderwanie się od społeczeństwa ludzkiego, ukołysało wzburzone fale egoizmu. Popłynął morzem do Lizbony, ztamtąd do Kadyxu, zatrzymał się w Sewilli, zawiązał na Malte, otarł się o Wyspy Jońskie i wysiadł na Zachodzie Półwyspu Bałkańskiego: był w Prewezie, w Salaro, w Zatoce Artyjskiej, w Janinie, Zelzie i Tepalinie,—poznając Epir i Albanię. Od Ali-baszy doznał nadzwyczaj uprzejmego przyjęcia. W Janinie rzucił na papier pierwsze strofy wielkiego poematu *Childe Harold's Pilgrimage* który jest poetycznym opisem odbytej podróży—oczywiście, podającym raczej wrażenia geniuszu twórczego, niż spostrzeżenia podróżnika.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ŻYCIE I PRACA

przez

Samuela Smiles'a.

(Dalszy ciąg).

Szlachetny człowiek jest łagodny, szlachetny człowiek jest delikatny; ale nie znaczy to, aby był miękkim, nie znaczy to, aby był słabym. Szlachetny powinien być stanowczym, szlachetny musi być odważnym. Sprawą to jest jego odwagi, że w chwilach niebezpieczeństwa ocala bliźnich od zguby i ród bohaterów, nie wygaś dotąd wśród ludzkości. We wszystkich klassach społeczeństwa są ludzie, ważący życie własne, aby ratować tonących, ludzie, którzy skaczą w płomień i wynoszą z ognia jego ofiary. Historia współczesna przedstawia mnóstwo takich przykładów. Znajdują się wciąż tacy, którzy wnoszą instytucyje miłosierne dla cierpiących i ubogich tego świata—znajdują się ludzie, którzy w wojnie i pokoju umieją się poświęcać.

Kiedy za czasów pierwszej rewolucyi francuski marszałek de Mouchy został skazanym na

śmierć z powodu, że ratował księży i inne nieszczęśliwe ofiary dzikich namiętności rozszalałego tłumu, w czasie egzekucji ktoś zawołał na niego:—Courage Mouchy! courage... a on odwrócił głowę w stronę, z kąd głos pochodził i rzekł: „Kiedy miał lat szesnaście, wdarłem się na wyłom obleganą twierdzę dla króla i ojczyzny mojej; teraz kiedy mam lat osmdziesiąt cztery, nie zabraknie mi odwagi, abym dla Boga mego wstąpił śmiało na stopnie szafotu.“

Przykład podobnie spokojnego mężstwa wobec pewnej śmierci dał już za naszych czasów nie żołnierz, przyzwyczajony stawiać codzień czoło śmierci, ale mąż uczony: Edward Henryk Palmer, profesor języka arabskiego na uniwersytecie w Cambridge. Znał on niemal wszystkie języki wschodnie, rozmawiał z cyganami tak, jak gdyby był jednym z pomiędzy nich i prócz uznania jego naukowej powagi kochanym, szanowanym, wysoko cenionym był przez cały swój ogół. Gdy w 1882 r. została przedsięwzięta wyprawa do Egiptu, rząd wezwał go, aby jej towarzyszył i przyłączono go do oddziału zapuszczającego się w głąb kraju dla nabywania wielbłądów, potrzebnych dla wojska i przeciągnięcia Beduinów na stronę Anglii. Po wielu dniach pochodu, już w okolicy Ayūn Mūsa, krajowcy napadli Anglików, otoczyli ich chmurą wielką a w kilka dni potem, trzeba było iść na śmierć i wszyscy ponieśli ją odważnie. — „Lecz to jest faktem wzniosłej pamięci, który być powinien drogi uczonej—pisze historyk krwawego dramatu— że kiedy trzeba było spełnić ciężkie i trudne zadanie, jedynym człowiekiem, który chciał i mógł stanąć tu na czele, był nie żołnierz, ale literat, nie mąż silnej ręki, ale wysokiego umysłu i szlachetnej wymowy. Tak w prowadzeniu wyprawy, jak w mężnym spotkaniu się ze śmiercią, Palmer pokazał światu, że uczonej może być i bohaterem, że człowiek, który się dobrze uczy i naucza dobrze—umie dobrze żyć i dobrze umierać.“

I w rzeczach mniejszych, w biegu życia potocznym, odwaga jest potrzebną i pożyteczną dla człowieka. Odważni patrzą śmiało w trudności życia i zwyciężają je; odwaga pomaga do dobrych postanowień, a złe dumnie odpycha. Spłacać wszystkie swe długi i nie żyć nigdy kosztem innych, przemawiać śmiało lub milczeć wytrwale, gdy interes osób drugich tego wymaga; zbadać siebie i uznać nieudolności swoje, nie zaprzecić się żadnej winy swojej, i przyznać się do błędu—postępować zawsze najlepiej jak możemy: to są dzieła odwagi. Odwaga moralna może dokonać w nas tego wszystkiego, jakkolwiek są to rzeczy trudne. Tchórz rodzi się już niewolnikiem—niewolnikiem samego siebie; człowiek odważny kształci się wciąż żyjąc, a żyje, aby się kształcił, tego zaś, który uczciwym jest i sprawiedliwym, otaczać będzie zawsze szacunek ludzki. Gdyby nawet tak nie było, ten, który obowiązkom swoim czyni zadość, może się obejść bez pochwał ludzkich, ponieważ nosi w sobie uczucie spełnionej powinności.

Kobieta stoi tu na równi z mężczyzną i jest jakoby jego kopią. Kobieta szlachetna jest słonecznym promieniem życia w domu męża wszelkiego stanu; jest jego weselem, czułością, miłością. Kobieta szlachetna, pani, zwała się w starym języku Anglosaxonów: „hlaefige“ chleb rozdająca, i jest ona rzeczywistością podskarbinią domu: rozdaje chleb powszedni i rozdziela miłość — czułość swą serdeczną między tych, którzy jej potrzebują. Miłość jest źródłem jej potęgi, jest spraw jej czynnikiem. „Miłość jest to mądrość—mówi Ś-ty Grzegorz — w sercu jest źródło prawdziwej miłości, więc i mądrości wszelkiej.“ Dobro pochodzi z uczuć serca naszego, z miłości ludzi, i nazewnątr objawia się wdzięcznością.

„Jeżeli chcesz to wiedzieć, co znaczy ładność [wdzięczna, Pytaj szlachetnych kobiet, gdzie się ona nabywa...“

Taillerand mówiąc o kobiecie budzącej miłość, powiedział, że uroda jest jej najmniejszą ponętą.

Czułość, prawdziwość, otwartość, honorowość w postępowaniu, uszanowanie innych, uczucie odpowiedzialności moralnej, dostojność w nawykniach osobistych: to jest jej powab najwyższy. Piękność nie jest tu rzeczą główną. Poczucie piękna jako linii i kształtu, zaciera się prędko w ciągłym pożyciu domowym; ale uczuciowość, szlachetność umysłu, pogoda charakteru—to są węzły, które wiążą rodziny i społeczeństwo.

I pracująca kobieta może niemniej posiadać, może równie rozwijać dostojne przymioty szlachetnej osobistości i nie potrzebuje na to być bogatą, wytwornie ubraną i nie nierobiącą panią. Wdzięcznie układna, posiadająca przymioty porządnego ładu, cierpliwie pracowita, umiejająca dobrze rozporządzać środkami powierzonymi jej ręką, obok tego, że stawia przed oczyma rodziny swojej dobry przykład pilności i wierności dla obowiązku, ma może szersze pole działania przez szlachetne i wdzięczne przymioty natury ludzkiej, może w życiu praktycznym dokonywać w tym kierunku więcej, niżeli jej mąż, pracujący na chleb rodziny. Matka więcej, niż ojciec, zwłaszcza w takim położeniu, wpływa na wytworzenie jasnej młodości i heroicznej męskości synów, ona to również odciska na istotach córek te przymioty wyższej kultury ducha, które je czynią dobrymi żonami uczciwych mężów. Szczęśliwymi też są mężowie takich żon, szczęśliwe są dzieci, które się porodziły z matek takich.

Uczciwa czystość obyczajów jest prawem moralnym, jednakowo obowiązującym kobietę i mężczyznę, ale od kobiety żąda się ogólnie wyższego podtrzymywania sztandaru dobrych obyczajów i kobiety szlachetne silniej też przy nim stoją. Ztąd nazywamy upadłą tę, która się pod tym względem poślizgnie i tak jest, bo przekroczyła to, co kobieta nawykła od dziecka, i słusznie, uważać za cnotę swą najwyższą. Kobieta, choćby tylko zalotna, poniża swe stanowisko i zstępuje z piedestału dostojnej szlachetności, bo wabi, gdy tymczasem—ona wypraszana i przywoływana miłością—pożądana być powinna. A i ztąd jest ona w takich razach gorszą od mężczyzny—mniej szlachetną, bo zwykle kobieta nie jest tak, jak mężczyzna narażona na ścieranie się z wpływami życia w szlakach jego otwartych. I nie jest też tak, jak on zobojętniał na wiele stron wyższej piękności życia, na życia poezją; nie zatwardniała w uczuciach swoich przez walki, trudy, przez wyścięgi współzawodnictwa, z którymi on boryka się w świecie, i mężczyzna zwraca się do domowego ogniska, do towarzystwa kobiety po pokój, wygodę, po pociechę i wynagrodzenie strat, wśród życia nazewnątr poniesionych.

I dlatego to jest przeznaczeniem kobiety, aby była dobrocią, łagodnością, słodyczą, aby była wyrozumiałością i przebaczeniem, aby często dawała więcej niż odbiera, i w uczuciu swem wspaniałomyślna, ogrzała chłód i nie odpychała na zamarnięcie ostateczne tego, który przebywał cięższe, niż ona koleje, drogi życia, ważył się na wyższe sprawy i spotykał się też z okrutniejszymi zawodami, łamał się w walkach, na które ona nigdy narażona nie była, nigdy przynajmniej nie zaznała ich w rozmiarach takich, jak on.

Ale jak kobieta ma daną sobie moc: „potęgę“, jak się wyraża Smiles, górnego podnoszenia i wyrównywania świata, tak na odwrót posiada ona potęgę poniżania go, spychania w dół. Teodota chełpiła się raz przed Sokratesem z tego, że mogłaby odciągnąć od niego, zabrać mu wszystkich jego uczniów,—mędrzec odpowiedział jej, że nie dziwi się temu.—„Ty sprowadzasz ich z góry na dół, ścieżką, która jest łatwą do przebycia, bo nie męczy, gdy ja zmuszam ich iść za cnotą pod górę, a wdrapywanie to jest ciężkie, wilżące czoło znojem i drogą, wielu ludziom wcale nieznaną.“ Przeszło od tego czasu z jakie dwa tysiące lat, a natura ludzka pozostała taką samą i Tomasz Carlyle, jak Sokrates drugi, uczynił to samo spostrzeżenie, dodając doń uwagę: „Już się zbliża i z pewnością przyjdzie niedługo dzień, w którym uznają wszyscy, że cnota zawiera się w czystości i powściągliwości życia.“

Kobieta chowa narodowi ludzi i przez to sieje w grunt rodzinny te ziarna cnoty, które mają zakwitnąć i wydać owoce swoje w życiu publicznym. Kardynał Manning, przemawiając niedawno w Birminghamie, i mówiąc o możliwych dla Anglii niebezpieczeństwach, o środkach obrony narodowej i wspominając o czterech morzach, na których Wielka Brytania panowanie swoje rozpościera, dodał, że jego wiara w siły angielskiego narodu opiera się nie na tych czterech morzach, nie mieści się na podstawie srebrzystych wód przestrzeniach, ale polega na czterech wielkich cnotach narodowych: na roztropności, która daje doskonałe rzeczy poznanie; na sprawiedliwości, która przynosi ze sobą doskonałą wolę dobrego wstrzeźmiwości uczącej ludzi, jak panować nad sobą w pożądaniach rozkosznego używania życia; na harcie ducha, czyniącego ludzi silnemi w cierpieniu i trudnościach życia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NA STARYM GRUNCIE.

POWIEŚĆ

Przez

M. Febroniusza.

(Dalszy ciąg).

Tak, jak tą pierwszą nocą księżycową, jechał Stanisław dni kilka, rozmyślając, rozmawiając sam ze sobą, to rozżalony, to rachujący na przyszłość, a zatrzymujący się najczęściej po wsiach, w karczemkach schludniejszych. Konia zawsze sam sobie poił i u żłobu wiązał sam mu siana zakładał, owsa nasypywał, a potem kładł się w waszku swoim, przykrywał burką i zasypiał znużony. Czasem sen wracał go w świat dawny—dawne życie i jego dramata otaczały go, szarpały nim, i nieraz zrywał się z piersią wdętą, rozgorączkowany, niekiedy nie umiejąc zdać sobie z tego sprawy, gdzie jest, i co się z nim dzieje, skoro ujrzał się na półkoszkach swoich w miejscu nieznanem. Z przytomnością wracał ból serca i gorzkie uczucie wykojenia, osamotnienia; ale bywały i takie chwile, że doznawał wielkiej ulgi, czuwał w piersiach serce lżejsze, gdy widział przeszłość odciągniętą już od siebie i w tyle gdzieś pozostałą.

Raz szczególnie, rankiem jednym, gdy pożywszy się już dobrze po północy, przespał snem twardym niemal do godziny szóstej, obudził się wypoczęty, zerwał się na nogi dziwnie rzeźki, słysząc w koło siebie ruch pracowitego życia, które się tu zaczynało już tą wczesną dnia godziną. Stróż rąbał drzewo gdzieś za ścianą i wyjeżdżał już wóz jakiś, a na nim młody chłop, z babą swoją, młodą też i ładną, wesoło krzyknął na dzieciaki gospodarza, bose i w koszulach tylko: — Z drogi, bo przejadę!... Wstąpiła i jemu w serce jakaś energia podobna przejeżdżania wierzchem potem, co mu kładło się zawałą przed życie, a gdy odkryte czoło owiał mu chłodny, świeży wiaterek poranny, on je podniósł i wciągnął w pierś orzeźwiającej technie dnia wiosennego. Młodość ma swoje prawa; siła, która w niej jest, rozlewa się po żyłach i krążąc w nich pełnią soków życiodajnych, odzywa się z głębi piersi ludzkiej i daje znać o sobie, jak sprzymierzeniec, który mówi: — Jestem i pomogę w trudności, w zwalczeniu przeszkód, w dźwiganie ciężarów.

Ze Stanisławem tak było tego poranku. Wczoraj o zachodzie słońca przejechał Bug, wjeżdżał już w strony, których nie znał, i doświadcza-

pewnego wzruszenia. Pędził konia, choć zwykle jechał wolno, jak należy temu, który mu przed sobą drogę dłuższą, ale teraz chciał, jagdyby przegonić wrażenie oddalania się od rodzinnych kątów, i jechał tak godzin kilka, nie oszczędzając gnaiadego, a potem za to, utrudzony, spał mocno i obudził się z uczuciem jakiejś nowej, rozwiniętej w nim siły.

To usposobienie pomogło mu, że mniej zamknięty w sobie, pogłaskał dziecko, które się koło niego płatało, potem przy śniadaniu w pustej już izbie zajezdnej porozmawiał trochę z karczmarką i karczmarzem o okolicy, o stosunkach, i usłyszał parę szczegółów, które mu się przydały. Ale to już przydało mu się najwięcej, że zaczął się otrząsać z przygnębienia, które go gniotło, że wydobyl się niejako z głębi serca swego, z toni uczuć, które rozkołysane tam były boleśnie. Życie realne zastępowało mu też drogę, bo nie mógł przecież jechać wiecznie przed siebie, i musiał raz sobie powiedzieć, że już jest dość daleko od tego, przed czym uciekał: dość daleko, aby mógł tu już zginać dla swojego wczoraj. Nazwiska, prawnej osoby swojej zmieniać nie chciał, i miał przy sobie wszystkie papiery, potwierdzające urzędownie jego tożsamość. Wiedział, że listów gończych nikt tu za nim nie wysła, że nikt nie będzie poszukiwał go tu jako zbiega; wiedział, że utonie cicho w mrowiu ludzi, pracujących na chleb i zbitych dołem. Niejeden, który tego nie chce, któryby pragnął „nie być jak żaby, co się w bagnie tają“ samą siłą rzeczy idzie w tę głąb, tającą istoty ludzkie, cóż więc on, który się na wierzch, na pokaz wyrwać nie żąda?... Tam, z kąd odjechał, wkrótce o nim zapomną, pogadawszy może trochę; tu powiedzą, że zwyczajnie przyszedł człowiek z trochę grosza, który sobie szuka kawałka gruntu, dającego się nabyć jaknajtaniej i pójdzie w ciżbę ludzką, jak kamień w wodę.—Najlepszą maską na twarzy naszej jest nic nie znaczyć—powiedział sobie z pewną goryczą, i jako Stanisław Starowiejski, który ma to imię i nazwisko zapisane w legitymacyach swoich, puścił się w świat, mówiąc sobie, że gdy już przebędzie pewną odległość, zatrzyma się w w pierwszym lepszym miejscu, gdzie mu się będzie wydawać zacisznie i nie bardzo przykro.

Za Kobryniem kraj stawał się bardziej lesistym, więcej było błot, szuwarów, często błyskało jezioro, ziemia nie wydawała się urodzajną, tu i tam wyglądały wydmy piaszczyste, uprawa pól okazywała się niższą, niż w jego stronach; ale on przecież powiedział sobie, że chce się z życiem z pracą łamać, a błysnęła mu też i myśl, że tu właśnie pożytecznym być może. Folwarczek kupi między szlachtą drobną i zrobi z niego wzór dla innych.

Już mu i zapal pewien zaczął w sercu się wzruszać; jechał, patrząc już oczyma nieobojetnego widza, lub artysty, choć go i smętna poezja tego lesistego, ubożego płatu ziemi chwyciła, pociągając do siebie i oddziaływając coraz więcej. Cicho mu tę będzie; pracowite istnienie jego na coś tu się zda; marzył, i to się żywo do rzuconych przed siebie ideałów zapalał, to melancholijnie rozmarzał.

Jednego dnia popołudniu, zajechał do małego miasteczka i powiedział sobie, że się tu zatrzyma i wiadomości zasięgnie co do możliwości planów swoich. Gdzie takie piaski i laski, ludzie są ubodzy; niejednego potrzeba przycisnąć, więc sprzeda jako łan choćby ojcowizny, i znajdzie sobie gruntu kawałek. Jużby był odczuł to przykro, gdyby się tak nie stało, bo już tu chciał kotwicę życia zarzucić.

Niedziela była, lud pobożny z nabożeństwa właśnie wychodził, gdy w zajezdzie się zatrzymał, ale tu już konia i wasąg w opiekę miejscową zdał, a sam poszedł co zjeść i obserwacje czynić, bo wiedział, że taki zajazd miasteczkowy to w Niedzielę dla okolicy punkt zborny. Zwyczaj to we wszystkich stronach jednakowy; kiedy nie do dworu, nie do księdza plebana, to jak tu, do tak zwanej traktyrni, która była razem i cukiernią i resursą miejscową, ludzie się zejdą,

aby porozmawiać ze sobą a nawet interes niejednen zrobić. On ich chciał zobaczyć, chciał się z nimi spotkać na tym gruncie neutralnym, i kazawszy dać sobie coś jeść, wsunął się z umysłu w kącie jaknajdalszy, bo ztąd mógł najlepiej widzieć i słyszeć dla tego właśnie, że sam widocznym niebył.

Było tu jeszcze pusto, gdy wszedł, słyszał tylko z drugiego pokoju dochodzące go uderzenia o siebie bil bilardowych i rozmowy głośne, ale świat, który się tam zabawiał, nie zajmował go, bo nie było wspólności żadnej między niemi. Herbatę pił, czekając na zrazy, które mu miano podać, a pokój zaczął się też zwolna zapęlniać. Parę wiejskich powozów przejechało koło okna, lecz i kilku mężczyznu tu weszło, głównie z panów: z „obywateli“, jak się pospolicie mówi. Z waszecia nie było nikogo i tylko on jeden w kącie swoim przedstawiał ten pokorniejszy stanik szaraczków, do których miał się już odtąd zaliczać. Jaki taki spojrział na niego, wszedłszy, i poznawał zaraz, że obcy, że podróżny, gdy przecież w kącie swoim nikomu nie przeszkadzał, więc nikt do niego nie miał i raz okiem rzuciwszy, zapomniał, że ktoś nieznamy tu jest. Witano się wzajem, rozmawiano, a Stanisław nie gniewał się, że mu zamówionego jedzenia nie przynoszą—słuchał.

Słuchał piosenki starej — złe czasy!.. bieda!.. Nad to nie dowiedział się nic, mogącego mieć dlań interes bezpośredni, prócz może samych rozmawiających ludzi, jakkolwiek i tu nie dowiedział się, nie zobaczył nic nowego: typ jeden, jak tradycja i kolej życia jedna, tylko odmiany trochę w kolorycie i akcesoryach, w charakterystyce osobistej. Z ulicy już było tylko słyhać ludzi, ciągnących pieszo z kościoła; powozy i bryczki już przejechały, przecież naraz za turkotało znowu na bruku, ale jakoś odmiennie, nierówno, ociężałe. Dało się przytem słyszeć wołanie:

— A z drogi tam ludzie... z drogi... powtórzono parokrotnie i rozmawiający coś w kupce, obrócili się ku oknom.—Z Rudawicy—rzekł ktoś.

— A, z Rudawicy... To też trzeba krzyczeć na ludzi, aby się umykali, bo nie chcą się bać rozjechania. Można powiedzieć, że to jedzie... bieda!

Rozmawiający stanęli przy oknach i patrzyli na „jadącą biedę“, a był to jakiś powozina gruchot, z fordeklami, konie niemal proste chetki chłopskie i na koźle też chłopak w świcie wiejskiej. Poprzednio widział Stanisław powozy, jak zwykle na wsi: mniej, więcej paradne, a jeżeli nie nowomodne, to porządne, i konie u nich dobre, to zaś był korab Noego i konie wywłoki, że jeszcze też w tem miejscu grunt był wzgórkowaty i ulica podnosiła się nieco, a bruk nie należał do najlepszych, jazda taką uprzężą była uciążliwa, sztukocząca i bujająca powozem po nierównych kamieniach. Chłopak powożący widział twarze z okna wyglądające, więc konie batem okładał, a na ludzi krzyczał, jakgdyby to w nich tkwiła przyczyna, że się z placu w ulicę wywlecie nie może.

—Biedny p. Michał...—ozwał się ktoś—biedny stary...

— Chodźmy od okna—dodał głos drugi—jemu to niemiło widzieć, że patrzemy.

— Czemu już u licha w domu nie siedzą... Rozumiem, że jest to rzecz przykra tak swój upadek, swoją nędzę ludziom prezentować...

— Pani Michałowa jest kobieta nabożna i biedne matczyśko modli się też za swego Stasia...

Stanisław w kącie drgnął. Są na świecie Stasia, za których modlą się matki...

Wypuścił coś z rozmowy przy oknie, ale rozmawiający wrócili już też do okrągłego stołu na środku pokoju, przy którym pili herbatę. Zaczęli się naradzać, że należałoby coś przedsięwziąć, dać jakąś radę temu p. Michałowi, nad którym się litowali. Nazywali go starym, dowodzili, że kto inny, młodszy, sprężystszy, choćby w obecnych okolicznościach na Rudawicy majątku nie robił, ale-by miał zawsze żyć za co, jako tako.

— Stary posyła synowi trochę grosza... — ktoś wtrącił...

— No tak, posyła, ale też oni sami co potrzebują? Gdyby Staś tu był, wdałby może więcej, a tak bokami-by nie robił, aby zebrać już tylko na podatki. Trzeba coś uradzić, trzeba... O sprzedaży niema co mówić, bo oboje starzy chyba się pierwej w trumnę położyli, nimby mieli ze starej grzędy się ruszyć i synowi ojcowizny nie dochować; ale gdyby w dzierzawę puścili? Mogliby po dawnemu mieszkać we dworze, wraz z ogrodem, i sadem, excypując go sobie. Dzierżawca, zwłaszcza kawaler, pomieściłby się byle gdzie.

— Nie przystaną... O powrót Stasia wiecznie kołaczą i spodziewają go się codziennie. Pan Michał nie chce nigdy młyną, ani karczmy wypuszczać na dłużej, niż na rok a wsi nikt tak nie weźmie. Dobry, uczciwy ekonom, byłby tu najlepszą rzeczą.

— Tak... — ozwał się ktoś — tylko, że p. Michał, u którego grosz goni za groszem, porządnie nie zapłaci, więc i nie dostanie takiego...

Rozmawiano tak jeszcze chwilę i proponowano, kontrowano sobie nawzajem, wspomniano przytem jakąś pannę Wandę, o której też powiedziano: —biedna... aż w końcu jeden ze starszych na zegarek spojrział i zawołał, że się spóźni do domu na obiad, co wszyscy powtórzyli chórem. Wzięto się pośpiesznie za czapki i Stanisław został wkrótce sam.

Wstał i on także; nie śpieszył się, bo jego nikt nie czekał, przeciwnie, szedł zapłacić za zjedzone śniadanie powoli, jak ktoś w myślach porażony i machinalnie tylko spełniający to, co czyni. Bo też miał się nad czym zamyślać i postanowił w miasteczku dłużej pozostać, kuferek z wasażką kazał stróżowi do swojej stancyi znieść i godzinę najmniej tam i napowrót w kółko chodząc, ważył w głowie zamiar nowy.

Rozmowa usłyszana zmieniła nagle jego plany. Już nie kawałek ziemi w okolicy tutejszej szukać chciał, aby się na niej w pracy hartował, przyszość o własnej sile sobie budując. On był samotny na świecie, jak ptak wyrzucony z gniazda—syn marnotrawny, którego ojciec od siebie odrzucił, a tam oto, w tej wiosce ubożej, o której słyszał, że ma grunt lichy i lasy potrzebne—w tej wiosce, gdzie jest bieda i brak, niedostatek, ojciec starowina mężczy się nad siły, nie mając pomocy synowskiej—pracy, oparcia synowskiej ręki i on też tam pojedzie i zgodzi się za ekonomą—taniego...

Raz pierwszy od wyjazdu z Warszawy lica rozpały mu się rumieńcem, raz pierwszy błękitne oczy zaświeciły blaskiem żywym, wśród gorąco tworzonego projektu. Nigdy on nie przeczył temu, że był winnym, nigdy nie twierdził, że ojciec był dla niego niesprawiedliwym, tylko mówił sobie z goryczą, że postąpiono z nim surowo, że miłość nie wyciągnęła do niego ręki, która by go z toni burzliwej młodości rodzicielsku ratowała. Wyrzuty sumienia przecież czuł, że to on jednak ojca, tak gorąco niegdyś do siebie przywiązanego, doprowadził do ostateczności takiej i teraz, gdy usłyszał historią o sieroctwie starości bezdzietnej, serce ścisnęło mu się w piersi boleśnie; uczucie winy, żal, że się nie upokorzył pod karzącą ręką rodzicielską przejął go nagle i ogarnęła chęć pokuty. Odda to choć innemu ojcu, wspomóże starość smutną, ubogą, nieszczęśliwą.

Na miasteczku zaraz też wyszedł, niby sobie lon do koła kupując, między żydków miejscowych się wmieszał, i o Rudawicę wypytywał. On służyłby szukał, a tam podobno potrzebują ekonomę?... Jechał by też sprezentować się, gdyby wiedział, że obcego za drzwi nie wyrzucą, i radby dla pomocy mieć ze sobą jakiego faktora z miasteczka. Rudawiecki pan musi jakiegoś mieć... Niechby jemu teraz posłużył, a wynagrodzi go pięknie.

— Aj! — krzyknięto w miejsce odpowiedzi — gdzie pan Rudawiecki jakiego faktora kiedy miał? Sam spekuluje, zboże do miasteczka korcami wywozi, więc na co mu faktora? Nie kupuje też nic, na jarmarkach nie bywa...

— A ekonomą w Rudawicy wcale niema i lu-

dzie nie pamiętają, czy kiedy był. Karbowi i sam pan... Na ekonomą, zwłaszcza porządniejszego, tam nie stać... Coby mu zapłacili?

Interessu Stanisława nie chiano jednak z rąk wypuścić. Naradzano się, rozprawiano między sobą, stręczono mu zajazd tańszy, gdzieby go niedrogo kosztowało poczekać, aż się coś odpowiedniego znajdzie, i ledwo mógł się wyrwać z obłężenia, w jakie go wzięto. Wracał przecież nie bez pewnej informacji nowej, która się z dawnymi zgadzała. Jeden ze starszych żydów, poważny, spokojny człowiek, z siwiejącą brodą, bardzo życzliwie, choć też bardzo smutno o obojgu państwie z Rudawicy się wyraził. — On sam bardzo porządny pan, tylko podupadł; a że wiekowy jest, więc się dźwignąć nie może — rzekł z dźwiękiem litości w głosie. — Ona zaś, imość stara, to już do rany przyłożył!... Że tam bieda, to bieda, bo też niema i z czego tak bardzo brać, ale uczciwość wielka...

— Gdyby jaki dobry ekonom tam się znalazł — dodał, w oczy Stanisławowi patrząc — jabym sam Panu Bogu podziękował, ale to prawda jest, że o dużej płacy myśleć tam nie można.

Stanisław czuł się coraz to bardziej poruszonym. Natura entuzjasty wydostawała się spod przybranego chłodu i tej niby silnej woli, którą nakazywała mu duma. Idąc, powiedział sobie, że do Rudawicy dostać się musi, choćby przyszło mu wprosić się gwałtem, jako człowiek podróżny, który odpocząć chce. Na takich warunkach nie odepchną go. To dobra imość, którą do rany przyłożyć można, wstawi się za nim.

Zamiar jego dojrzał może szczególnie wtedy, gdy o niej usłyszał. Jego matka zamykała oczy, nie widząc go, i on teraz służyć będzie matce, mającej syna daleko.

Nie był wśród tych wszystkich myśli tyle smutnym, ile tkliwie rozkołysanym. A nawet miał w sercu jakieś uczucie błogie, i zaraz też w drogę się puścił, ludzi z miasteczka rozpytawszy się o kierunek. Pokazano mu ciemną ścianę sosnowego boru i kazano jechać prosto, a jak wyjedzie na pole, niech od krzyża, który tam stoi z Bożą Męką, weźmie się na prawo, to dojedzie. Wsi zdaleka nie widać, bo dużo tam drzew, ale niech jedzie tak, a nie zabłądzi...

Jechał i dojechał, a drogą przekonywał się, że go powiadomiono dobrze. Znalazł las sosnowy, świadczący, nie w jednym miejscu, że przechodziła tędy niszcząca siekiera niemilosierznego człowieka; za lasem pole było obsiane żytem, które nie bardzo buiło. Za to grusz, olch, drzewin różnych było wszędzie mnóstwo: koło drogi, na wzgórku każdym, gdzie tylko rość mogły spokojnie, a wieś schowaną też była w nich, jak w lesie. Przy lekkim, piaszczystym gruncie, przy średnio zapowiadającym się urodzaju, kawałek ten świata, może później, niż inne, lasom przez człowieka wydarty, wyglądał ubogo, ale bardzo miło, wesoło, dla tej zieloności drzew, które rozrzucone po polu, brzeżące drogą każdą, oczy cieszyły. Stanisław umiał się dobrze pokierować, już na miejscu się znalazłszy. Wieś zostawała na lewo, a on, trzymając się drogi na pewną odległość już porządnie topolami wysadzonej, do dworu, a raczej do wrót dworskiego dziedzińca, prosto dojechał.

Tu z wózka swego zesiadł. Ekonom, służby szukający, nie zajeżdża przed ganek pański i on pamiętał o tem. Koń sięgał łakomie po wysoką trawę i ziele, po bokach drogi rosnące, i Stanisław, pod ogrodzenie dziedzińca go doprowadzwszy, wiedział, że spokojnie stać tu będzie, posuwając się za owemi łakociami ledwo o kroków parę. Niemal mil przejechał i dobrze mu tu było stać w cieniu, kosztując rudawieckiej paszy.

Stanisław otworzył wrota i wszedł na dziedzińiec, który z dwóch boków obsadzony topolami i bujną murawą okryty, wyglądał jak łączka, przecięta drogą, wiodącą najpierw przedwrot, a dalej do drugich wrot, na okólnik do zabudowań gospodarskich. W środku dziedzińca rosły wdzięcznie wśród murawy rozpięchnięte krzewy i drzewa, to pojedynczo, to w grupie. W ty-

le poza dworem znajdował się ogród właściwy, dalej po prawej ręce stary sad, ale tu rzucono tak, jakgdyby chcąc naśladować polankę kilku brzoź, kalin, parę świerków, białych osin i róż dzikich na mieszkanie dla ptactwa, które teraz, w Maju śpiewało — śpiewało dniem i nocą, bo na brzozie jednej i w kępcie kalin gnieździły się słowiki. W tej chwili, blizkiej zachodu słońca, odzywał się między liśćmi pospolitszy plebs skrzydlaty: wesoły, gwarliwy, szczebioczący bez końca i głośzący się wzajem. Gdy zapadnie noc, gdy wejdzie księżyc i wszystko umilknie, na sen się po gałęziach utuli, ozwie się dopiero poeta: tęskny, rozkochany w nocy majowej, będzie zawodził, tony ciągnął, będzie ludzi rozmarzał i młodym sercem bić każe.

W tej chwili, gdy Stanisław, wszedłszy przez wrota, które skrzyły, oznajmując go, a on objął wzrokiem to podwórze, śliczne jak do malowania i dwór nieduży, z gankiem o czterech filarkach drewnianych, w ganku tym siedziało na ławce obok siebie dwoje ludzi już starych, mąż i żona: p. Michał Rudawicki i p. Michałowa — p. Róża Rudawicka.

Była to teraz biedna róża od zimy życia biała, bo siwa jak gołębek. Mąż, który, u słyszawszy skrzypnięcie wrót, zwrócił się ku nim oczyma, najpierw się wzrokowi Stanisława przedstawił, i wywarł na nim wrażenie, dające się określić najtrafniej, przez wyraz: staruszek. Nizki, chudziutecki, niegdyś blondyn, teraz trochę włosów żółtawo-siwych na niedużej głowie mający; miał twarz, która się zdawała jakgdyby tylko skórą obciążoną, tak była szczupła, a przytem jeszcze w tysiące drobniubnych jakichś zmarszczek posiekana. Że obok tego pozostała, jak nie rzadko u blondynów, młodzieńczo biała i różowa, że z niej patrzyły, może niegdyś piękne, błękitne, a teraz już zbladłe niebieskie oczy, czyniła ona na widzu wrażenie dziwne: miłe, bo miała wyraz bardzo łagodny, a jednak smutne, bo przedstawiała już tę starość, która czyni z człowieka ruinę. Ubrany w ciemno-popielate suknie, uszyte przez krawca z miasteczka i bogdaj, czy nie z domowego samodzielnego, który chciał fabrykę, chciał kort naśladować, podniósł się stary z ławki i ciekawie patrzył na Stanisława, który w siedzącym na ganku pana domu się domyślił, a znając już dzieje człowieka, doznał trudnych do opisania uczuć. Litość i tkliwa sympatya mieszały się ze sobą. Zdjął kapelusz i stanął o parę kroków przed gankiem.

— A z kąd Bóg prowadzi? — zapytał gospodarz. Głos też już był stary, jakiś cienki, ale miły i tak łagodny, jak twarz.

— Za służbą, jasnie panie...

— Ja, kochanku, nie jasnie pan, a i służby żadnej u mnie niema. Ale jakiej-że kondycyi wasze jesteście?

On, patrząc na Stanisława, tak się w nim z przyjemnością pięknej, bujnie wyrosłej młodzieńczości przyglądał, jak Stanisław prawie synowskim wzrokiem na tę wyschlą starość z litością wielką patrzył. — Za ekonomą służywałem — rzekł. — Na gospodarstwie się znam, wiernym będę i pracowitym też, ile sił starczy.

Głos mu lekko drżał. Był silniej wzruszony, niż się tego spodziewał.

Kobiece ucho usłyszało to. Imość, tak dobra, że do rany ją przyłożyć, podniosła się z ławki, bo filarek zasłaniał jej mówiącego, a ona teraz zobaczyć go chciała. — A! mój Boże, jak on delikatnie wygląda! — pomyślała. — Jak pańskie dziecko jakie...

W jej wieku tak się nazywa młodość, zwłaszcza, gdy to mówią usta kobiety matki. — Jak pańskie dziecko... — powtórzyła sobie.

I ona wywarła na Stanisławie wielkie wrażenie. Młodsza od męża, choć też już wiekowa, kobieta ta przedstawiała starość przepiękną. Włosy, jak śnieg białe, były gęste i gładko zaczesane nad szlachetnym, pogodnym czołem, oczy duże, czarne, twarz pociągła, blada, a raczej jednostajnie biała, a słodka, spokojna, choć smętna, dziwnie pociągła przez swój sympatyczny

wyraz dobroci. Stanisław tak się w nią wpa-trzył, jak w obraz. Piękniejszej sędziwości nie widział jeszcze nigdy u kobiety.

— Czy z tych stron? — zapytała, a głos był taki, jak oblicze, dobrotliwy i jakgdyby macierzyński.

— O nie... nie zblizka. Służby teraz nie łatwe.

Na zadane mu pytanie Stanisław się nie przygotował. Nie miał na to dość czasu, aby przemyślał wszystko, i teraz też zmieszał się, jakgdyby go te czarne, łagodne oczy przeglądały i chcąc coś odpowiedzieć, powiedział to, na co dobra imość stała się smutną. Wzięła to za skargę człowieka bezdomnego.

— Nazywam się Stanisław Starowiejski... — dodał. Myślał, że go zapytują o papiery.

— Ach! — zawołała kobieta — Stanisław...

— Staś... — dodał z cicha staruszek — Staś.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ECHA LWOWSKIE.

„Co śmiertelne, to z konieczności być musi i omylnie“ — powiedzieliśmy w przeszłej korespondencji. Aforyzmem tym moglibyśmy obronić podaną tamże wiadomość o naszym społeczeństwie, że spoważniało ono po klęskach strat w ludziach znakomych, niezwykle często następujących, z żalem oraz przerażeniem złowróżbnem, w paru latach ostatnich — i znaleźć przebaczenie u szanownych czytelników, z powodu faktu zbyt zagęszczonych w kraju zabaw karnawałowych w obecnym sezonie, tak nieliczących, naprawdę, z poważnym żalobnym nastrojem, a przede wszystkim z grozą położenia politycznego. Ale my się do tego nie uciekamy. Nie myśląc wcale brać cudzego grzechu na własne sumienie przez pobłażliwość, widzimy raczej w tym fakcie powtórzenie się czegoś podobnego z przed stu lat, choć szal zabaw podówczas w Galicyi owiele przewyższał obecny. Ale, jak wtedy, tak również i obecnie szal ten był sztuczny, a w społeczeństwie myśli poważne i troski o przyszłość na jednę chwilę nie ustawały. Wybuch ten wesołości nic nie zmienił też w ogólnym usposobieniu, które, jak ów krzyżak w „Wallenrodzie“:

„Utkwiwszy oczy w nieprzyjaciół szaniec,
Nabija strzelbę i liczy różaniec.“

Tak jest, spoglądamy na potrzeby społeczne i krajowe bez trwogi, ze spokojem starego żołnierza na czacie. Zabawy najliczniejsze i daleko wrzawliwsze, niż obecne, nie zachwieją faktu mężstwa i rozwagi, które coraz-to wyraźniej występują w życiu społeczeństwa galicyjskiego. Ze zboczenia pojedynczego nie można sądzić o toku całego naszego życia społecznego i towarzyskiego, które coraz tu dojrzewa.

Po tem objaśnieniu wstępem dla kronikarskiego porządku, musimy wyraźnie zaznaczyć, że sezon karnawałowy we Lwowie był tak ożywiły, jak tego bardzo i bardzo dawno nie pamiętamy. Bale, rauty, pikniki i zabawy publiczne z tańcami, poczynawszy od trzeciego tygodnia w Styczniu, trwały bez przerwy aż do samego Popielca. Mieliśmy bale: prawników, Dublańczyków, akademicki, „Frohsinnu“, artystyczno-literacki, szynkarski i t. d. Ale koroną ich był niezaprzeczenie artystyczno-literacki, na którym wśród niezwykłe urozmaiconego programu, latała po powietrzu lwowska rodzima piękność *à la* Grigolatis. „Le beau monde“ przyjmował w tych zabawach niemal powszechny udział, ma się rozumieć, z wyjątkiem ostatniego, wymienionego wyżej.

Pomijając stronę uczuciową i ekonomiczną tych zabaw, można w nich było dopatrzeć jednej ciekawej cechy charakterystycznej: oto wszystkie one wyglądały raczej na szkołę popisów estetycznego urządzania zabaw publicznych, niż na wybuch wesołości uroczysty. Jest to niezaprzeczenie dodatnia ich strona, która doprowadzi do tego, że się one staną szlachetniejszymi i wytworniejszemi w smaku. Cała zaś ta ich zasługa spada na naszego „sylfa krajowego“, szanownego pana Adolfa Abrahamowicza, znanego autora dramatycznego, który dziśjsze utemperowane bachanalie postanowił zamienić na szkołę wyższą urządzania zabaw publicznych. Myśl ta, niezaprzeczenie oryginalna, powiedzmy szczerze: i ważna, — powinnyby znaleźć wszędzie szerszy rozgłos i zastosowanie. Prócz korzyści wyrobienia smaku estetycznego w pojęciu towarzyskiem, ileż-to zarazem może spłynąć uciechy do odległych od miast dworów i rezydencji, gdy obok monotonnych tańców, zaczęją się urozmaicać zabawy karrawalowe rozmaitego rodzaju widowiskami i niespodziankami! Szanowny więc nasz „sylf krajowy“, — wcale poważny człowiek, bo już dobrze siwizną przypuszczony, mógłby oddać znakomitą przysługę sportowi karrawalowemu, gdyby wydał jaki podręcznik umiejętności bawienia się z tańcami i bez tańców. Zamknęliśmy nasz rachunek sumienia tem pobożnym życzeniem, żeby nam odpuszczone zostały grzechy niewczesnej zabawy tegorocznej...

Bale nasze były rozpoczęły się w chwili właśnie, gdy sejm został zamknięty, d. 21 Stycznia. Nie pojmujemy wszelako, co mogło powstrzymać wybuch wesołości publicznej; wszak zajęcia jego były tak niehałaśliwe i nienamiętnie, że chyba o nich wiedzieli zaledwo ludzie poświęceni zgłębianiu arkanów naszej wewnętrznej polityki i niestrudzeni dziennikarze. Tak jest, sesya tegoroczna była daleko spokojniejszą, niż wszystkich poprzednich lat; żadnych większych uchwał prawodawczych na niej nie wydano. Największą było podniesienie pensyi nauczycieli ludowych, zapomocą tak zwanych „kwinkweniów“ czyli nadatków co pięć lat, po 50 złr., do stałej płacy i prawa do pobierania emerytury, po 40-stuleciech służby nienagannej. Reszta projektów oczekuje załatwienia na przyszłej sesyi jesiennej, czego kraj z upragnieniem wygląda, pragnąc raz narazie wyjść ze stanu tymczasowości ustawodawczej, w której ciągle pozostaje w najgłówniejszych gałęziach urzędów autonomicznych. Do zatwierdzonego projektu o uposażeniu nauczycieli ludowych winniśmy „Bluszczowi“ podać jeden bardzo pocieszający szczegół, dotyczący naszej płci niewieściej. Z ust najkompetentniejszych, bo inspektorów okręgowych, słyszeliśmy, że najwzorowiej prowadzonymi szkołkami po wsiach i miasteczkach bywają właśnie te, które są prowadzone i rządzone przez nauczycielki, i to choć niemi zwykle bywają młodzieczne panienki. Z niewysłowionym zapałem lecą te pszczołki nasze pracowite i zaszczepiają słodczyce nauki w prostacze serca zgorzkniałych w barbarzyńskim bycie wieśniaków. Nauczycielki nasze wywierają prawdziwie czarodziejski urok na chłopców, choć samą tylko dobrocią i łagodnością oddziaływają na dziatwę szkolną. Siłę tę zdobywają one przez nieklamane zamiłowanie swego powołania, pojmowanego z prawdziwie religijnem namaszczeniem, czego nie widać tyle u mężczyzn nauczycieli, traktujących swe zatrudnienie jako sposób zarobkowania, mniej więcej zyskowego; są i pomiędzy nimi wyjątki, ale one nie nadają charakterystycznego piętna szlachetnego ogółowi, jak to widać w korporacji nauczycielek naszych. Prócz tryumfu Polek na tem polu i nadania sposobu do niezależnego bytu kilkuset pannom dobrze wychowanym, cóż to za korzyść olbrzymia przedstawia się naszemu społeczeństwu z rozumnego użytkowania sił naszej kobiety oświeconej! Pragnąć-by należało, aby nasze panie popierały z całych sił myśl obsadzania szkółek wiejskich nauczycielkami. Czyżby niejedna z panienek, córek szlacheckich, tak doskonale znających swoją wieś, nie znalazła przytem właściwego zatrudnienia, niosąc ulgę materyjalną rodzincom, częstokroć niemogącym podołać wydatkom

codziennym, wskutek smutnego stanu ekonomicznego kraju naszego? Przystąpienie to panien szlacheckich byłoby niezmiernie doniosłości dla rozwoju szkolnictwa ludowego, nietylko oświecającego, lecz i umoralniającego lud nasz, zacofany i nieokrzesany. Całej tej rzeczy nie uważamy za trudną do przeprowadzenia; owszem, byłaby ona niezmiernie łatwą, byleby tylko nasze zacne panie szlachcianki zechciały ją poprzeć serdecznie: u nas bowiem nic się nie oprze ich woli i żądaniom, bo wszyscy mają to przekonanie, że one tylko do dobrego zaprowadzą.

Bez gorętszego tchnienia kobiecego w nasz żywot społeczny, naprawdę-byśmy mogli stawić sobie najsmutniejsze horoskopy.

Widać dziwnie jednak trafnem okazuje się przysłowie: „plenus venter non studet libenter“¹⁾ co do naszej natury... Choć głodna i uboga, jak Diogenes, Galicya, pomimo to, rozwija nieustannie na polu sztuki, literatury i nauki największe usiłowania ze wszystkich dzielnic dawnej Polski. W poprzedniej korespondencji naszej powiedzieliśmy, że ruch wydawniczy w Galicyi prześciga o jedną trzecią zakordonowy, z Poznańskiem razem; otóż stosunek ten, pomimo nasze „głodomorstwo“, nietylko, że się nie zmniejszył w ostatnich czasach, ale, przeciwnie, znacznie się powiększył, pomimo fatalnego oddziaływania handlowych stosunków z Warszawą, która obecnie i trzeciej części nie żąda tutejszych sortymentów księgarskich, a co już trwa blisko od pięciu lat. Wykaz w liczbach za pierwszy miesiąc b. r. wykazuje w Galicyi: 84 dzieł, a w Królestwie i w Poznańskiem 47, czyli, że przewyżka tutejsza już się do połowy zbliża. Dział naukowy nasz przewyższa treścią i ilością wszystkie inne; w belletrystyce też w tyle nie pozostajemy. Mamyż do tego dodawać obraz naszego ruchu artystycznego, którego próbę w roku zeszłym tak skutecznie wytrzymała Galicya? Czego ślady niezatarte ujrano w sztuce plastycznej, to samo spotykamy i w innych działach.

Szczególnie się u nas zaczęły przykładać do śpiewu nasze panie. Nie będziemy wymieniali ich imiennie, żeby nie obrażać skromności artystycznej; wogóle jednak zaznaczymy, że są pomiędzy nimi talenta muzyczne i głosy bardzo wiele rokujące na przyszłość. Ze wszystkich datków sejmu na kształcenie się w sztuce, rubryka petentek uwzględnionych wypadła największa na uczennice śpiewu wyższego. Szkoda, że sejm nasz zanadto mało ma pieniędzy na rozdanie zapomóg kształcącym się w wyższych zawodach sztuki i nauki. Sądziłibyśmy, że tu zasada p. Szczepanowskiego „powiększenia nakładów“ powinnyby znaleźć przedewszystkiem zastosowanie. Wszak talenta — to nietylko największy skarb życiowy, ale i prawdziwe bogactwo krajowe, dające wielu ludziom pośredniącym zarobek znakomity. Mądrze przeto poczynają sobie te narody i rządy, które najwyższą troskliwością i wygodami otaczają talenta, bo one właściwie stanowią sumę dorobku dziejowego i jego prawdziwą wartość. Bez geniuszów i talentów niema narodów, a same chyba gwary chłopskie lub barbarzyńskie hordy najezdnicze nie mają, ściśle, mówiąc prawa do tej nazwy wyszczególniającej w hierarchii społeczeństwa ludzkiego. Sejm nasz śmiało mógłby podnieść tę rubrykę wydatków dziesięćkroć wyżej, a nakład tu zrobiony, nadzwyczajnie wydałby plony i to w najkrótszym czasie. Miliony wydajemy na szkoły, a tymczasem ta szkoła szkół, ten wykwit ich najwyższy talent, jakże jest u nas pozabawiony wszelkiej opieki, jakże mu każą pobarbarzyńsku łamać się z życiem i pozwalać marnieć przez brak środków do wykształcenia się metodycznego! To są prawdziwe, żywe uniwersytety, na które bezwarunkowo cały nakład naukowy powinien być wydawany: wszak racjonalny hodowca i gospodarz cały zachód koło rośliny podejmuje li tylko w celu wypielęgnowania jej najpiękniejszej lub najużyteczniejszej części, nie łożąc wcale na bezwartościową resztę?

Może znaleźć się ktoś, co gotów powiedzieć, że zbytnie pielęgnowanie talentów utrwała konserwatywizm w narodach i nadaje im nałogi arystokratyczne. Co do nas oświadczyć, wolimy to jednak, niż zbytni pochop do przewrotów społecznych lub sprośczenie towarzyskie, czyniące życie ludzkie ciężkiem i nudnem, życie i tak już nieświatne w dziśjszych warunkach.

Co spotykamy w zakresie literatury i sztuki plastycznej, możemy również to odnieść i do naszej sceny, która pomimo nadzwyczajne nasze ubóstwo, robi coraz nowe wysiłki, dowodzące tutejszej żywotności niezaprzeczonej. Dyrekcyja teatralna pod p. Baracza we Lwowie ma jakiś szczególniejszy urok dla tutejszej publiczności. Trudno rzeczywiście w naszych warunkach o bardziej uwzględniającego życzenia publiczności i potrzeby artystów dyrektora, nad p. B. Choć z nowo, ści scenicznymi, prócz fraszki Bałuckiego „O Józief“ nie od Nowego Roku nie dawano na tutejszej scenie, ale za to reszta sztuk, bądź swoich, poraz pierwszy granych, jak „Rodzina Apfel“ Zalewskiego, bądź cudzoziemskich, jak „Durand Durand“, oraz operetki „Niniche“ i „Nanon“, była wystawioną z rzetelną starannością i bogactwem dekoracyjnym, oraz kostiumowem. Nie podobna żądać więcej od tak małego miasta jak Lwów, zaledwo sto dwadzieścia tysięcy mieszkańców mającego.

Erywał.

RUCH MUZYCZNY.

Wspominaliśmy w ostatnim sprawozdaniu o młodym naszym ziomku p. Józefie Sliwińskim, który, jak donosiły gazety wiedeńskie wystąpiwszy z własnym koncertem, zdobył sobie odrazu publiczność i krytykę tamtejszą. Przyznamy szczerze, iż nie śmieliśmy wierzyć, żeby w tych pochwalnych wiadomościach nie mieściło się choćby cokolwiek przesady, i niecierpliwie wyglądałiśmy chwili, w której będziemy mogli sami do wódnie się przekonać i zdanie swoje ustalić. Otóż dzisiaj z radością i śmiało możemy wyrazić to zdanie, gdyż rzeczywistość przeszła wszelkie nasze oczekiwania; znaleźliśmy się wobec gry potężnej, indywidualnej, szlachetnej. P. Józef Sliwiński, nie jest to, jakby kto chciał mniemać, pełnym nadziei młodym talentem, lecz skończonym pod wielu względami artystą; w grze jego już jest tyle świetnej techniki, tyle werwy młodzieńczej, tyle poczucia prawdy w sztuce, że tylko przyklasnąć wypada i dziwić się cudnemu przeobrażeniu ucznia w artystę, które w tak krótkim czasie się dokonało. Na swym koncercie w Warszawie p. Sliwiński wystąpił z programem godnym pierwszorzędnego wirtuoza: Etiudy Symfoniczne Schumann'a, sonata Beethoven'a z op. 28, Barcarolla Rubinsteina, kilka dzieł Szopena, Händla i Liszta, błysnęły wdziękiem potęgą lub uczuciem we wzorowem wykonaniu koncertanta. Znać wprawdzie jeszcze pewną skłonność do krańcowości, do przesady, która każdy młody umysł tak łatwo ogarnia, lecz na to już kiedyś samo doświadczenie da niezawodne lekarstwo.

W tym samym, co p. Sliwiński, czasie koncertował u nas młody skrzypek p. Karol Gregorowicz. Przed ośmiu lub dziewięciu laty, pamiętamy, jak na jednym z wieczorów Towarzystwa Muzycznego popisywał się z grą na skrzypcach mały, lecz dziarski jedenastoletni chłopczyk, któremu zdumieni słuchacze wróżyli świetną przyszłość. Otóż teraz to dziecko przedstawiło się publiczności młodzieńcem, który swojego czasu nie zmarnował. P. Gregorowicz odbywał studia w Moskwie i Niemczech, a wyborna szkoła niemiecka silny wpływ na jego grę wywarła. Wiemy wszyscy, jak wielkie zalety ta szkoła posiada; pamiętamy jeszcze, jak przedstawiciel jej

1) „Pełny żołądek niechętnie się uczy.“

Joachim, zachwycał nas olimpijskim spokojem i powagą, szła chętnością stylu i subtelnością w wykończeniu: otóż i w grze p. Gregorowicza znajdujemy po części wszystkie te cechy, przyswojone tem swobodniej i naturalniej, że wywodzą one swe źródło z jego własnego temperamentu, czyniąc go wirtuozem oryginalnym, typowym, którego indywidualność, z biegiem czasu niewątpliwie jeszcze bardziej się uwydatni.

W koncertach kameralnych Konserwatorium Warszawskiego przyjmowali udział: pani Menter i młody kompozytor fortepianista Edward Schütt. Cóż powiemy o pani Menter? To tylko może, iż jak nas nie zadziwia własność ciepła, jak nie wywołuje ciągłego uwielbienia zbawcze światło słoneczne, tak i jej gra, zachwyca nas w sposób tak naturalny, że się już temu i nie dziwimy wcale; jest to jakby zjawisko, do któregośmy przywykli.

Pani Menter grała Trio Beethovena: C minor i nad program, Scarlattiego: Pastorale. Na dwóch własnych koncertach, które odbyły się d. 10 i 13 b. m., wykonała cały szereg arcydzieł, których w bogatym swym repertoarze zawsze podostatkiem znajduje. Szczególniej interessującym moment było wykonaniem: koncertu Schumanna i Fantazy z Don Juana, albowiem są to dzieła, które nie często można usłyszeć.

W występach p. Edwarda Schütta zwracaliśmy głównie uwagę na jego twórczość kompozytorską. Niezaprzeczenie jest on jednym ze zdolniejszych kompozytorów obecnej chwili; odznacza się poprawnością formy, brakiem wszelkiej pretensjonalności, a oryginalnym jest właśnie dlatego, że się za sztuczną oryginalnością nie ugania. Utwory jego, świeże, naturalne, łatwe do pojęcia, a nawet i do wykonania, zapewnią sobie niezawodnie popularność. Najbardziej podobał nam się kwartet fortepianowy, który wykonał p. Schütt na jednym z rautów artystycznych.

W trzecim koncercie konserwatorium, oprócz zwykłych wykonawców muzyki zbiorowej: pp. Barcewicza, Stillera, Szultza i Aloiza, przyjął udział i p. Schlözer, zagrawszy z pp. Barcewiczem i Aloizem: Trio Czajkowskiego poświęcone pamięci Mikołaja Rubinsteina. Dzieło to silnie odziaływa na słuchacza, to pełnem żałosci i tęsknoty uczuciem, to znów gorącym porywem werwy wesołej; jedynie tylko temat do waryacji, w stylu Schumanna przeprowadzony, oddziela się od całości odmienną charakterystyką. Wykonanie, z początku trochę nieśmiałe, później jednak rozgrzało się pod wpływem tej dziwnie wrażliwej muzyki, która, zestawiając w sobie całą skalę uczuć nieraz najzupełniej sprzecznych, zdaje się żywo a prawdziwie malować obraz ludzkiego życia. Czajkowski jest to twórca, który pisze w natchnieniu, pod naciskiem gorących myśli i uczuć; w jego dziełach niema banalnej konwencyonalności, bo muzyk kładzie w nie część swojego ducha; dlatego też, jakiegokolwiek mogłyby być przeciw niemu uwagi krytyczne, nigdy tak zwanej oschłej roboty, a braku treści, zarzucić mu nie podobna.

Na tym samym koncercie, jako przeciwstawienie owej nieforemnej a ognistej kompozycji, wykonano inną, mianowicie: Sextet Brahmsa, gdzie forma budowy, pogodna równość myśli, opracowanie szczegółów, wszystko znajduje się pod miarą i wagą, lecz gdzie, niestety, czuć sztukę i chłód, który aż słuchaczowi się udziela.

Streszczając wrażenia ze wszystkich tegorocznych koncertów muzyki kameralnej, które konserwatorium warszawskie, w celu przysporzenia sobie funduszków, urządza, trzeba przy-

znać, że tak wybór dzieł, jako i wykonanie ich wzorowe zasługiwałyby na większe poparcie publiczności, która, z widoczną nieznanością rzeczy, postępuje i lekceważy dobrą sposobność wzbudzenia w sobie zamiłowania do tego jednego z piękniejszych działów muzyki.

Towarzystwo Muzyczne warszawskie ukończyło w tych dniach bez deficytu pieniężnego swój rok budżetowy; czy jednak w swej działalności nie uczyniło deficytu, czy dało dostateczną karm, duchową swym członkom, nie śmiemy objawić naszego zdania, albowiem z ogólnej liczby trzydziestu kilku wieczorów, na paru tylko z nich okoliczności pozwoliły nam się znajdować. Zestawiając jednak podane w sprawozdaniu rocznem programata i listę osób biorących w nich udział, widzimy większe ożywienie i ruch dobrze świadczący o kierownictwie towarzystwa.

W sprawozdaniu niniejszem zaznaczyć jeszcze wypada, jako świetne chwile dla melomanów, występy pani Essipowej. Wielokrotnie już podnoszone były przez krytykę i uznawane przez publiczność zalety tej znakomitej pianistki: śpiewność jej gry, subtelność odcieni, skończona technika, poezya, którą owiewa interpretowane przez siebie utwory. Wszystkie zaś te zalety, stoją na stopniu od którego zająć wyżej ani zstąpić nie pozwala indywidualność artystki, wszystko bowiem, co leżało w zakresie jej możliwości i usposobienia, zdobyła już i przyswoiła sobie.

Juljusz Stattler.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Antoni Pietkiewicz** (Adam Pług) został członkiem korespondentem *Towarzystwa Przyjaciół Nauk* w Poznaniu.

— **Spółka Ogrodu Zoologicznego** zamknęła budżet roczny z pewną przewyżką dochodu nad wydatkami.

— **Szkoła Sztuk Pięknych w Krakowie** przyniosła celującym uczniom swoim: dwa medale złote, trzy srebrne, pięć brązowych. Medale zostały wybite w Wiedniu, w mennicy państwa. Przy rozdawaniu ich przemawiał Matejko, jako dyrektor szkoły. Medale złote otrzymali: Lisiewicz za obraz „Chrystus odchodzący z wieczernika“ i Józef Unierzyski za obraz: „Zdjęcie z Krzyża.“ Obraz ten był wystawiony w roku zeszłym w Krakowie na *Pierwszej Wystawie Sztuki Polskiej*. Traktowanie realistyczne.

— **Matejko** wystawił na Wiedeńskiej Wystawie olbrzymich rozmiarów obraz: „*Kościuszko*“.

— **Gabinet archeologiczny Jagiellońskiego Uniwersytetu** liczy 9,000 okazów. Mieszczący się dotąd w starym gmachu: „*Collegium Jagelonicum*“ przeniesionym zostaje do nowego „*Collegium Novum*“, gdzie zajmie sześć wielkich sal. Przeniesieniem go tam i urządzeniem zajmuje się prof. Łepkowski, założyciel jego przed ośmiastu laty. W nowym gmachu uniwersytetu urządzoną też została galerja obrazów, mieszcząca portrety rektorów i profesorów. Jest ich przeszło 200, między niemi wizerunek Kopernika, pędzla Matejki. Publiczność zwiedzać może, tak galerję,

jak i skarbiec uniwersytetu, i jego gabinety przyrodnicze.

— **W Muzeum Techniczno - Przemysłowem Dr Baranieckiego** w Krakowie otwartą została wystawa przedmiotów nadesłanych z wysp Jawa i Sumatra, przez Dr. Jarosława Warzaka, Polaka w służbie hollenderskiej na wyspie Jawie. Wystawę tę, połączoną z wystawą darów przysłanych Muzeum przez Polaków, osiadłych na obczyźnie. Edmund Fiszer, właściciel apteki na wyspach Filipińskich, przysłał okazy broni malajskiej. Dr. Gumplowicz, Krakowianin rodem, przebywający na Wyspach Moluckich, jako lekarz, ofiarował muzeum krakowskiemu zbiór krzewów, ptaków i kilkuset muszli. Dr. Władysław Jabłonowski, lekarz w Szkodrze, nadesłał piękne okazy haftu kobiet albańskich i fotografie ubiorów tamtejszych.

— **We Lwowie** powstało „*Towarzystwo Oszczędności*“, dzielące się na męzkie i kobiece, mające cel filantropijny: wspieranie zubożałych właścicieli ziemskich, większej i mniejszej posiadłości. Każdy członek płaci miesięcznie 10 centów, lecz obowiązany jest pozyskać dla Towarzystwa dziesięciu członków, a z tych każdy powinien z kolei przybrać sobie także dziesięciu, na których ciążyą tesame obowiązki: płacenia miesięcznie dziesięciu centów i zjednania dziesięciu nowych członków, których obowiązują tesame przepisy.

— **Powszechna Niemiecka Wystawa** mająca się odbyć w Berlinie w 1889 r. ogłasza przez komitet swój, że termin zamówienia miejsca i zapisanie się wystawców, kończy się z dniem 1 Czerwca bieżącego roku. Otwarcie wystawy nastąpi d. 1 Kwietnia 1889 roku, trwać będzie od dwóch do trzech miesięcy. Obok zwykłego katalogu ma istnieć drugi, opracowany politeracku, z ilustracyami — będzie to album wystawy.

— **Francuzcy malarze i rzeźbiarze**, którzy mieli wziąć udział w Wystawie Sztuki w Wiedniu, cofnęli się na zasadzie, że ponieważ wystawa łączy się z jubileuszem cesarza Franciszka Józefa, jest zatem państwową, a skoro urzędowa Austrya nie ma wziąć udziału w przyszłej wystawie paryskiej, zatem i oni powinni się cofnąć.

— **Gounod** pisze nową operę: *Karolina Corday*. Text, według dramatu Ponsarda, ma być pisany przez spółkę librecistów: Armanda Silvestre i d'Ennery.

— **W Anglii** wychodzi rocznie około 700 powieści.

— **Język chiński** jest według wyrachowania prof. Kirchhofa z Halli, używanym przez największą liczbę ludzi, gdyż mówi nim 400,000,000. Po nim idą: hindostański, angielski, niemiecki, hiszpański.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 17-ty powieści pod tytułem: *Książę Saracinesca*, przez M. Crawford.

TREŚĆ: Pogawędka. — Po przeczytaniu poezyi Asnyka, poezya, przez Helenę. — Byron, (wspomnienie), (dalszy ciąg). — Życie i praca, (dalszy ciąg), przez Samuela Smilesa. — Na starym gruncie, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Febroniusza. — Echa Lwowskie. — Ruch muzyczny, przez Jul. Stattlera. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 17-ty powieści pod tytułem: *Książę Saracinesca*, przez Maryana Crawford — 14 wzorów nbiórów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.